

Karol
Wędziagolski
Pamiętniki

WOJNA I REWOLUCJA
KONTRREWOLUCJA
BOLSZEWICKI PRZEWROT
WARSZAWSKI EPILOG



Wstęp, posłowie, opracowanie przypisów: Grzegorz Eberhardt

Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki

Korekta: Bogusława Jędrasik

Indeks: Bogusława Jędrasik

Na obwolucie wykorzystano zdjęcia
z archiwum ISKIER oraz Michała Wędziagolskiego

Zdjęcia w tekście z archiwum rodzinnego Michała Wędziagolskiego

Copyright © by Polska Fundacja Kulturalna, Londyn

Copyright © by Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2007 r.

ISBN 978-83-244-0036-2

Wydawnictwo ISKRY

ul. Smolna 11

00-375 Warszawa

e-mail: iskry@iskry.com.pl

Sprzedaż wysyłkowa i dystrybucja:

Dobra 28 sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21

01-942 Warszawa

tel. (0-22) 864-95-17

Przygotowalnia:

www.notus.biz

Druk i oprawa:

Aidcas Agencja Reklamowo-Wydawnicza

ul. Halicka 9, 31-036 Kraków

Pamięci Alfreda Jurzykowskiego
i Zygmunta Koszutkiego,
których szlachetna życzliwość umożliwiła
napisanie tej książki.

Autor



*Karol Wędziągolski w Rumunii,
rok 1940*

[Kup książkę](#)

WSTĘP

Karol Wędziagolski urodził się w roku 1886 niedaleko Wilna w rodzinnym majątku Jaworów, w starej rodzinie szlacheckiej herbu Pomian. Miał dwóch braci i cztery siostry. Większość z nich ukończyła wyższe studia. Paweł, brat średni (rocznik 1883), nawet po trzykroć je zaliczył. Na początku wydział fizyko-matematyczny Uniwersytetu Petersburskiego, później Pedagogiczną Akademię Wojskową, a na końcu trzeci fakultet, architektoniczny, rozpoczęty w roku 1912, a ukończony z wyróżnieniem w 1917, tuż przed końcem carskiej Rosji. Bronisław, najstarszy z braci (ur. w roku 1876), ukończył Wojskową Akademię Intendentury. Jedna z siostr z kolei miała za sobą fakultet historyczny w Petersburgu, druga konserwatorium muzyczne. Natomiast sam Karol wykazał się dość mizernym



*Od lewej: prof. Kwiatkowski, Janina, Hania, Karol, Niania [?],
Karolina Wędziagolska, pani Kwiatkowska, NN, NN, Jaworów 1937*

wykształceniem. Skończył jedynie elitarny korpus kadetów w Petersburgu. Elitarność szkoły zapewniła mu znajomości wśród osób wpływowych. Znajomości te w połączeniu z osobistymi zaletami (udokumentowanymi choćby przez późniejsze wydarzenia) przyczyniły się do tego, iż pomimo braku wyższych studiów rozpoczął karierę urzędniczą w jednym z petersburskich ministerstw. Po ośmiu latach karierę tę przerwał zamach w dalekim Sarajewie. Śmierć Franciszka Ferdynanda rozpoczęła wojnę, którą szybko nazwie się światową, a po niewielu latach oznaczy dodatkowo liczebnikiem.



Dom Karola Wędziagolskiego w Jaworowie, rok 1937



*Stary dom rodziny Karola Wędziagolskiego w Jaworowie,
prawdopodobnie lata powojenne*

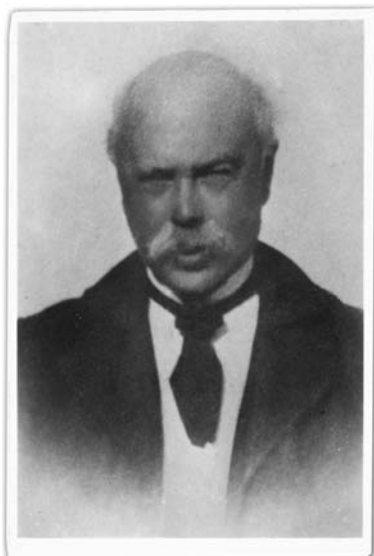
WSTĘP



*Karol Wędziągolski w okresie rozmów
polsko-rosyjskich – działał z polecenia
Józefa Piłsudskiego*



*Karol Wędziągolski w Argentynie,
rok 1962*



*Senior rodu – ojciec Karola,
Michał Wędziągolski w 1926 roku*

Niewątpliwie człowiekiem rządzi przypadek. Do pewnych granic oczywiście – na przykład granic wychowania, wyznaczonych przez system wartości i odpowiedzialności, a wpojonych w domu rodzinnym, oraz granic pocucia smaku, nieprzekraczalnych w którymś momencie. W polskim przypadku należy też uwzględnić te wytyczone przez pocucie patriotyzmu.

Tak, ród Wędziagolskich zdał egzamin w tamtej epoce. Epoce, ogólnie rzecz biorąc, przypadkiem rządzonej.

Gdy przyszła rewolucja lutowa roku 1917, Karol Wędziagolski nie był nią specjalnie zaskoczony. Ale i nie zachwyił się nią bezwarunkowo. Już zdążył zwątpić w wyznawane w młodości idee socjalistyczne. Minione lata wojny, doświadczeń, przemysłów ugruntowały go w przekonaniu, iż dla rozwoju, postępu lepsza od rewolucji jest powolna ewolucja. Zwłaszcza gdy rewolucja ta dzieje się w czasie wojny! Jedyne, co go pocieszało w tych burzliwych dniach, to nadzieja na uzyskanie przez Polskę – przy „okazji” tych zawirowań – niepodległości.

Choć był sceptyczny wobec bieżących wydarzeń, nie odmówił, gdy zaoferowały mu one nowe wyzwania. I tak zaczęła się jego kariera w nowej rzeczywistości. Kariera, a może raczej... przygoda.



*Karol Wędziagolski w rozmowie
z generałem Kazimierzem Sosnkowskim,
lata sześćdziesiąte XX wieku*

A trzeba mu było tego awansu rewolucyjnego, dzięki niemu mógł bowiem spotkać się z Borysem Sawinkowem.

Wędziagolski poznał się z nim już wcześniej, w roku 1909. Tamten namawiał go wtedy do włączenia się w akcje terrorystyczne. Karol odmówił, był myśliwym i jako taki nie potrafił akceptować tak niehonorowych, podstępnych sposobów polowania. Po ośmiu latach spotkali się ponownie. Sawinkow był już jedną z ważniejszych postaci w porewolucyjnym Rządzie Tymczasowym, a Wędziagolski – człowiekiem zaufania 8. Armii. Sawinkow szukał entuzjastów dla swej koncepcji rozwoju sytuacji. Bez trudu jej zwolennika odnalazł w byłym urzędniku ministerialnym. Zarówno jeden, jak i drugi nie domyślali się wtedy, jak ważne okaże się dla nich to spotkanie.

I długo już Wędziagolski nie rozstawał się z Sawinkowem – postacią ważną dla historii XX wieku, przywódcą organizacji terrorystycznej, współautorem kilku zamachów na wyższych urzędników carskich, osobnikiem skazanym na śmierć za ową działalność, człowiekiem owładniętym ideą, akceptowaną przez Wędziagolskiego lub nie, lecz niewątpliwie autentyczną w jego przypadku. Co ważne, Sawinkow w roku 1917 był już innym człowiekiem aniżeli kilka lat wcześniej. To oczywisty rezultat zmienionej sytuacji. Rewolucja lutowa zdawała się realizować idee, dla jakich kiedyś Sawinkow szykował bomby. Samodzierżawie upadło, parlamentaryzm się rozwijał, demokracji coraz więcej...

Sawinkow w roku 1917 objawiał się Wędziagolskiemu jako bardzo dalekowzroczny polityk. Były terrorysta od razu wyczuł słabości rewolty i szybko docenił zagrożenie ze strony bolszewików – partii przez inne traktowanej jako mało ważna, groteskowa, znajdującą się w rozdarciu pomiędzy swymi żądaniami (ogromnymi) a swą liczebnością (więcej niż skromną). Sawinkow nie tylko potrafił ocenić sytuację, on także usiłował czynnie przeciwdziałać.

Wędziagolski odnowił swą znajomość sprzed lat z Sawinkowem w momencie przełomowym dla losów rewolucji lutowej. Miała akurat miejsce ostatnia poważniejsza próba ocalenia owej rewolucji, tak zwany bunt Ławra Georgijewicza Kornilowa. Próba się nie udała, wielu uczestników buntu zostało aresztowanych, któryś

z nich nawet popełnił samobójstwo. Panował coraz większy chaos. Przyszedł wreszcie październik i przewrót bolszewicki.

Poważne zbliżenie i komitywa Wędziagolskiego z Sawinkowem nastąpiła właśnie po tych wydarzeniach – po nieszczęsnych sześciu dniach, w których garstka bolszewików przejęła władzę w dwóch najważniejszych miastach Rosji.

Najmocniej i najsukuteczniej związała ich... ucieczka. Nic innego im nie zostało. Tuż przed nimi zbiegł w przebraniu Aleksander Fiodorowicz Kiereński. To jeszcze nie był koniec, jeszcze próbowali zebrać siły, wojska, dogadać się, pogodzić skłóconych generałów, cywilów. Najmocniej ich zjednał właśnie ten czas poszukiwania ostatniego poratunku, lecz nie dla samej Rosji, ale poratunku przed bolszewikami, których niebezpieczna siła, siła demagogii dla obywateli zdawała się oczywista. Ogólnie rzecz biorąc, ich podróż była ucieczką i... zbliżeniem do siebie, bo każdy dzień był dniem, który mógł okazać się ostatnim w ich życiu. Coraz częściej czuli się zdradzeni, a przed ostatecznością ratował ich szósty zmysł, który na przemian kierował raz jednym, raz drugim.

Oto dwóch ludzi o różnych korzeniach narodowościowych, kulturowych, ideowych wreszcie (!) przemierza potężny, stusześcdziesięciomilionowy kraj. Tonący kraj – pełen tonących wartości, tonących ludzi... Nie uciekają, jak rzekłem, biernie. Niestety, ich ewentualni sprzymierzeńcy ich nie lubią. „Biali” wojskowi widzą w Sawinkowie głównie zamachowca na stary porządek. Tak samo oceniają jego towarzysza, Wędziagolskiego.

Rozstanie z Sawinkowem nastąpiło, gdy Armia Ochotnicza – ówczesne najpotężniejsze rosyjskie zgrupowanie wojskowe walczące z bolszewikami – wysłała Wędziagolskiego w charakterze swego dyplomatycznego przedstawiciela do Kijowa, do świeżo tam zaistniałego rządu ukraińskiego. W Kijowie był świadkiem rzezi, pogromów – całej tej przetaczającej się zawieruchy bitewnej. Ale tam też zbliżył się do polskich środowisk niepodległościowych.

Wydarzenia spowodują, iż z polecenia Naczelnika Państwa Wędziagolski spotka się z Sawinkowem pod koniec roku 1919. Wykona wtedy najważniejszą misję swego życia – misję, która mu się uda, a jednocześnie będzie jego klęską.

Misję tę osobiście zlecił mu Naczelnik Państwa. Piłsudski wybrał Wędziagolskiego z dwóch powodów: uznał go za jedną z niewielu osób wolnych od uprzedzeń antyrosyjskich. Wędziagolski nadawał się do tego zadania także i z powodu swej zażyłości z Borysem Sawinkowem. Ten był terrorystą, jako jeden z niewielu Rosjan przebywających wówczas na emigracji, dysponował na tyle uznawanym autorytetem, by móc zrealizować ideę proponowaną przez Piłsudskiego. I tak też się stało. W roku 1920 zaistniał w Polsce Rosyjski Komitet Polityczny, a jego blisko osiemdziesiąt tysięcy armia dołączyła do walki z zalewem bolszewickim.

Wędziagolski nie wykorzystał swej bliskości z Piłsudskim. Przeciwnie – ująwszy się za swymi rosyjskimi przyjaciółmi deportowanymi z Polski (na mocy pokoju ryskiego), odbył ostrą, przykrą rozmowę z Naczelnikiem Państwa. Sam zresztą tak oto wspominał ją po latach: „Piłsudski wściekł się i zaczął krzyczeć na mnie, że takie to już ma szczęście do Polaków, których za uszy ciągnie do Polski, a w ręku mu zostają tylko uszy. Bogu dzięki, nie wyszczególnił jakie”.

I tą też autoironią kończą się *Pamiętniki*.

Po opisanym powyżej incydencie Wędziagolski zjechał na stałe – jak mu się wydawało – do Jaworowa. Miał już dosyć polityki. W swych peregrynacjach wojennych, gdzieś na Ukrainie (bodaj w okolicach Żytomierza), poznał w roku 1920 Janinę Chybińską. To ona stała się jego ostateczną wybranką. Związek zawarli w roku 1921 i byli ze sobą już do końca.

Zamieszkali w jemu przypadłej części Jaworowa. Karol zbudował solidny murowany dom i ostro zabrał się za gospodarowanie. Postawił na tak zwane kultury rolne, próbował się z hodowlą trzody, drobiu. Pobliskie bagna zamienił w stawy rybne.

Z czasem urodziły mu się dzieci. Życie rodzinne kwitło. Tuż obok gospodarowali jego bracia, którzy też założyli już rodziny. Bronisław wykazał się aktywnością społeczną i polityczną. Był posłem na sejm, a Piłsudski wykorzystywał go do ważnych misji specjalnych (jak na przykład w roku 1923 w czasie wydarzeń krakowskich). Paweł rozkwitał jako architekt. Jego dokonania do dziś są popularne i przywoływane w świecie architektów (na przykład



Polowanie w Wielkich Solecznikach.

*Od lewej: H. Wagnerówna, Anna Wędziągolska, Bronisław Wędziągolski,
Karol Wędziągolski, Paweł Wędziągolski, S. Renard*



*Od lewej: Jadwiga z Rutkowskich Wędziągolska,
Karolina z Sosonków Wędziągolska, Maria z Rutkowskich Dzikowa,
Jadwinia Dzikówna*

w mającej miejsce w 2007 roku dyskusji o przyszłości warszawskiej tak zwanej Osi Saskiej).

Siostry Karola „poszły w świat”, za mężami, a bracia Wędziagolscy zostali w Jaworowie. Paweł wziął się za budowę willi, której projekt i dziś jest doceniany. Niestety, w roku 1929 w trakcie prac przy tej budowli zginął przygnieciony drzewem.

Pod koniec lat dwudziestych Karol Wędziagolski został mianowany syndykiem upadającej Manufaktury Widzewskiej w Łodzi. Wykazując się ogromnym talentem, uratował ją od bankructwa. Prowadził ją do 1939 roku. Do Łodzi ściągnął rodzinę, ale to Jaworów postrzegał jako swój przyszłościowy cel i tam inwestował wszelkie zarobione pieniądze: usprawniał swoje gospodarstwo pod względem technicznym, obkupił je w maszyny i sprzęt, młynowi wodnemu dodał turbinę, wytwarzał prąd, zakładał sady. Miał kilka aut, na których chłopców ze wsi uczył jazdy i mechaniki. Razem z braćmi ufundował szkołę. Dzięki ich aktywności w Jaworowie często gościli artyści z Wilna i Warszawy.

Nadszedł wrzesień 1939 roku...

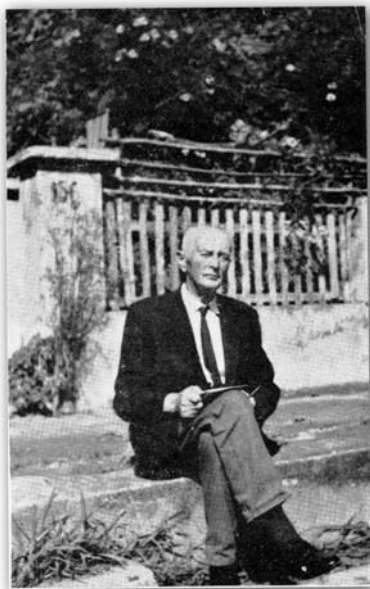
Wędziagolski nie miał złudzeń – Niemcy, póki co, pokonają Polskę. Ale najgorsze przyszło 17 września, gdy Sowieci wkroczyli do



Dom Karola Wędziagolskiego, lata dziewięćdziesiąte XX wieku

Polski. Karol wiedział, że oni go zapamiętali, wyjechał więc na początek do Rumunii, a żonę z dziećmi wysłał na Litwę. Dom w Jaworowie nawiedzili wkrótce politrucy. Któryś z nich skomentował jego nieobecność: „Wiele nam na złość zrobił”. Zapamiętał te słowa Michał Wędziagolski, bratanek Karola. Zapamiętał także postać ochmistrzyni, niewiasty nie wiadomo skąd przybyłej do nich wiosną 1939 roku. We wrześniu okazała się pilnym przewodnikiem towarzyszy sowieckich. To wtedy też Bronisław został zabrany przez NKWD. Na chwilę.

Karolowi udało się ściągnąć do Rzymu żonę i dzieci. Działał szybko. Z rodziną witał się już w 1940 roku, zanim na serio rozpoczęły się działania wojenne we Francji. W tym samym roku wyjechali do Brazylii. Była najdalej od Europy. Karol zdawał sobie sprawę z zagrożenia Europy spowodowanego nie przez Niemca, który wygrać nie mógł, lecz przez bolszewika, który tę wojnę wygrać musiał.



*Karol Wędziagolski w São Paulo,
lata siedemdziesiąte XX wieku*

WSTĘP

Wędziagolski wiedział z własnego doświadczenia, z własnej obserwacji, iż bolszewicy zwyciężyli w październiku 1917 roku, ponieważ ich ewentualni wrogowie zachowali n e u t r a l n o ś ć!

Historia się powtarzała.

W Brazylii, a dokładniej w São Paulo, Karol zaczynał wszystko od początku. Nie było mu łatwo, przekroczył pięćdziesiątkę. Sytuacja jego rodziny zaczęła się stabilizować z chwilą otworzenia w Brazylii montowni Mercedesa, gdzie Wędziagolski znalazł pracę w dziale administracji. Właścicielem fabryki był polski przemysłowiec Alfred Jurzykowski.

Jak wspomina Michał Wędziagolski, (syn Pawła, architekta) mój rozmówca w roku 2007, listy otrzymywane z Brazylii pełne były bezradnej nostalgii. Nie, pan Karol nie myślał o powrocie. On napisał książkę.

Grzegorz Eberhardt

CZĘŚĆ I

Wojna i rewolucja

[Kup książkę](#)

NIEFRASOBLIWE POCZĄTKI

Lipiec (starego stylu) 1914 roku, jak zwykle pogodny i upalny, rozpoczął się w Petersburgu pod znakiem ogórkowej nudy, urozmaicanej od kilku dni niegroźnymi – jak się wydawało – awanturami strajkującego proletariatu stolicy.

Trochę bardziej ożywiło się po przybyciu wysokiego gościa z Francji, aczkolwiek barykady z wagonów tramwajowych, powywracanych do góry kołami i ustawionych w poprzek wielu ulic na przedmieściach psuły nieco nastroj uroczystości na cześć prezydenta Raymonda Poincarégo. „Stan wzmocnionej ochrony”, zarządzony w stolicy i okręgu stołecznym, też nie dodawał uroku sojuszniczym manifestacjom. Lecz w centrum miasta, na wspaniałych pałacowych bulwarach panował spokój, przeto programowa barwność alianckiej gościnności i serdeczności niczym nie była zmacona. W pałacach przyjmowano i bawiono się, symulując wielkoświatową obojętność dla burzącej się czerni. I tak to sobie trwało, trochę dramatycznie, na zewnątrz niefrasobliwie i całkiem dyplomatycznie, już przy odgłosie pomruków nadciągającej nawałnicy, będących echem kilku strzałów w dalekim Sarajewie. Coraz bardziej gorączkowe i sprzeczne telegramy roznosiły po świecie złe nowiny. Pogodnym niebem leciały tam i z powrotem dyplomatyczne noty, krzyżując się w obojętnym błękiecie lub goniąc jedna drugą, raz warkliwymi słowami o ojczyźnie i honorze, to znów frazesami o pokoju, dla pokoju, w imię obrony powszechnego pokoju...

Gdyby w owym czasie zwykły szary człowiek ulicy zapytał, czemu wybuchła wojna, gdy wokół wszyscy wzywali do pokoju, i otrzymał odpowiedź, że wojny pragnął cesarz Niemiec albo kanclerz Austro-Węgier, albo stryj rosyjskiego cara (wielkiego księcia Mikołaja), albo – jak niektórzy twierdzili – piękne czarnogórskie królewny, podniecające mężów do obrony pokrzywdzonej Serbii,

nie uznałby takiego wyjaśnienia za przekonywające. Ponad wszystkim bowiem panował nastrój mistycznego urzeczenia, że wojna musi być, gdyż staje się z wyroku losu. W metafizyczne pochodzenie wojny wierzono niemal powszechnie. Dla Polaka była ona wysłuchaniem modlitwy Mickiewicza „o wojnę o wolność ludów”.

A jednak ogłoszenie mobilizacji wywołało wstrząs. W osobisty los każdego mężczyzny w wieku poborowym i jego całej rodziny wtargnął nieustępliwy przymus obowiązku, który był dotychczas dalekim paragrafem, niemal abstrakcją, a naraz stawał się brutalną przemocą, wyrrywającą normalny porządek prywatnego życia kilkudziesięciu milionów ludzi. Z dnia na dzień przestawała istnieć ich dumna nietykliwość i w oczach miała maleć ich umowna wartość według dotychczasowego wysokiego kursu ustalonego przez wiek XIX. Pomimo to wielu się spodziewało, że wojna ta zwiastuje lepsze jutro. Tylko nieliczni przeczuwali już wtedy, że rozpoczął się nowy i krwawy rozdział historii jako wstęp do epoki, którą wkrótce kilku szaleńców proklamuje jako epokę powszechnej szczęśliwości i sprawiedliwości. Tymczasem ta, która przemijała przypieczętowana czarnym słowem: mobilizacja, na czerwonych obwieszczeniach rozklejanych na ścianach domów, była etapem budowania szczęśliwości względnej, czyli realnej i prawdziwej, gdyż inna nie istnieje.

Naraz i dla mnie rozpoczął się nowy etap życia, przekreślający na zawsze wszystko, co było przedtem.

Przydzielono mnie do sztabu XVIII Korpusu Armii w randze wojskowego urzędnika ostatniej czy przedostatniej klasy.

Dość łatwo i szybko poradziłem sobie z moją urażoną ambicją, dotkniętą nie tyle w osobistych aspiracjach, ile bardziej z szacunku dla kilku pokoleń polskich, i jednego rosyjskiego, huzarów, którzy chyba stęknęli w swoich grobach na taki despekt wnuka, prawnuka i praprawnuka. Pokonałem szybko wyrzuty huzarskiego honoru przewagą moich demokratycznych i radykalnych argumentów i psychoanalitycznie wywnioskowałem, że widocznie nie jestem stworzony na bohatera. Wobec czego nie należy na przekór naturze, a być może i woli Opatrzności, dążyć, aby nim zostać.

Nie bardzo wysiliłem się na mój wojskowy ekwipunek. Do cywilnych czarnych spodni dokupiłem gotową wojskową kurtkę

ochronnego koloru z przepisowymi naramiennikami z jedną gwiazdką, lecz za to srebrną; następnie na Aleksandrowskim Rynku (petersburski Kercelak) kupiłem czapkę, bardzo wojacką i twarzową, a tuż obok wytargowałem za jednego rubla wspaniałą teatralną szpadę (pochwę i gardę bez klingi). Tak przefasonowany i uzbrojony zameldowałem się mojemu szefowi, pułkownikowi Słonińskiemu (*iz Polakow – prawosławnyj*), dość sympatycznemu administracyjnemu oficerowi o wytwornych manierach petersburskiego światowca. Z kolei przedstawiłem się moim nowym kolegom, oficerom i wojskowym urzędnikom, wszystkim starszym ode mnie rangami, co zresztą w późniejszych stosunkach służbowych, a tym bardziej pozasłużbowych, nie miało odgrywać żadnej roli na moją niekorzyść. Towarzystwo bowiem stałem od nich wszystkich wyżej jako szlachcic starego rodu, syn ziemianina i wychowanek elitarnego korpusu kadetów.

Pakując rzeczy, załadowałem do walizki na wszelki wypadek cywilny garnitur, myśląc o możliwych spotkaniach z krewnymi i rodakami. Cywilna marynarka w porę zastosowana mogłaby zapobiec powstawaniu kłopotliwych tematów i pretensji, że w tak historycznej chwili występuję w ubogiej szacie i pospolitej roli kancelaryjnego gryzipiórka zamiast na czele jakiegoś szwadronu cesarskiej gwardii w mundurze lejbułańskim czy lejbkirasjerskim. Napisałem pożegnalne listy do najbliższych, odbyłem kilka sentymentalnych spotkań, wysłuchałem gorących zaklęć wierności do grobu, a ponieważ nie było dokładnie sprecyzowane, do czyjego grobu, wziąłem to na siebie i jakoś w końcu lipca (starego stylu) wyjechałem „na wojnę”. Przedświtną godziną wysunęliśmy się cichutko którymś numerowanym eszelonem, naładowanych sztabem i korpusowymi instytucjami, z bałtyckiego dworca kolejowego w kierunku Narwy.

Nie wiedziałem, że opuszczam Petersburg jako miejsce mego stałego zamieszkania na zawsze. Po ośmiu latach pobytu równie barwnych jak ważnych dla dojrzewania mojej prawdziwej osobowości.

23. i 27. dywizje naszego korpusu stanęły w bojowym pogotowiu na bałtyckim wybrzeżu. Chyba w przewidywaniu nieprzyjacielskiego desantu... Po cichu szemraliśmy, że zamiast zwyciężać starego au-

striackiego cesarza, popijać węgryzna i czarować piękne wiedenki, pętamy się wzdłuż tych piaszczystych wydym w oczekiwaniu wroga, który by musiał postradać wpierw rozum, nim by tu do nas przy płynął. Tymczasem zawzięcie wojowaliśmy piórami, nadrabiając wszystkie mobilizacyjne i organizacyjne niedociągnięcia, a wieczorami i nocami zwiedzaliśmy ciekawe zakątki starożytnej Narwy. W małych, lecz schludnych, estońskich garkuchniach zjadaliśmy na świat cały sławne narwskie węgorze, popijając gorzałką w filiżankach do kawy, gdyż od pierwszego dnia wojny w całej Rosji obowiązywała surowa abstynencja.

Nasz parotygodniowy narwski postój nie zaznaczył się żadnymi bojowymi wyczynami, jeśli nie liczyć codziennych zwycięstw pewnego wielkiego księcia, bliskiego kuzyna cara, przydzielonego do naszego sztabu dla zaznajomienia się ze sztuką wojenną. W dużym otwartym mercedesie wielki książę co noc wywoził z pobojowiska paru skromnych nocnych lokali zawojowane przez siebie młode i piękne niewiasty, oczywiście przyjezdne z niedalekiej stolicy, dziewczęco wesołe i doszczętnie nagie. Ponieważ od nas do wielkiego księcia i jego branek było dalej niż do księżycy, obserwowaliśmy z dużą obojętnością tryumfy wielkoksiężęcego oręża; wysłuchując jedynie ubolewań podległych nam ciurów, że byłoby lepiej, gdyby owe niewiasty były nieco oszczędniejsze i nie rozrzucały w przejeździe wzdłuż ulic niezmiernie cnotliwego i konserwatywnego grodu części swoich toalet i najintymniejszej garderoby, którą później policjanci zbierali na oczach zgorszonych przechodniów.

Takie to właśnie były nasze „pierwsze boje”. Lermontowskie *schwatki bojevyje**.

* zdobycze wojenne

POLSKA

Nasz narwski postój trwał parę tygodni. W drugiej połowie sierpnia wyruszyliśmy dalej. Nikt z nas oczywiście prócz sztabowej zwierzchności nie wiedział dokąd, lecz gdy minęliśmy Ługę, Psków i Dźwińsk, nietrudno było się domyśleć, że jedziemy na któryś odcinek zachodniego frontu. Gdy nasz sztabowy eszelon stanął na dworcu w Wilnie, doznałem wzruszenia dawnych chłopięcych lat, kiedy to po długich miesiącach roku szkolnego wracałem tędy do domu. Smutno popatrzyłem na tor kolejowy wykręcający w lewo w górę w kierunku Porubanka i żałośnie myślałem, że oto jestem o godzinę drogi do swoich w Jaworowie, i że ubezwłasnowolniony mijam ich, jadąc na cudzą wojnę, tyle samo z własnej chęci, co te huczące pociągi, śpieszące na Grodno, Białystok i dalej, dalej...

Ponieważ nigdy przedtem nie zdarzyło mi się bywać dalej na zachód niż Landwarów, gdy za Grodnem otworzyły się widoki okolic odmiennych od naszych podwileńskich, inne i z charakteru topograficznego, i z tego niewyraźnego „czegoś”, co raczej się czuje, niż rozumie, nie odchodziłem od okna w korytarzu, wchłaniając ducha ziemi nieznanej mi a serdecznie bliskiej. Zwróciło to uwagę mojego nowego i sympatycznego kolegi, porucznika gwardyjskiej artylerii Mirowa. Mirow chętnie rozmawiał ze mną po polsku, matka jego była petersburską Polką. Z wyglądu i manier było widoczne, że należał do dobrego towarzystwa stolicy, był łatwy i miły w obcowaniu, przy tym bystry, a że wyraźnie gustował w moim towarzystwie, więc częściej i chętniej z nim przestawałem niż z innymi kolegami.

– Ale pan przywarł do tego okna!... – rzucił wesoło w przejściu.

Bardziej uroczyście, niż należało odpowiedziałem, że się zachwygam nowymi dla mnie widokami mojej ojczyzny.

Mirow, jakby zdziwiony, zatrzymał się, rzucił okiem przez okno, uważnie mi się przyjrzał i z tłumionym zniecierpliwieniem pouczał:

– Pańską ojczyzną jest cała Rosja. I tutaj jest ta sama Rosja. Cemu pan nie zapomni wreszcie o tej ojczyźnie, która jest fikcją, świeckim dodatkiem do katolickiej mszy świętej, romantycznym konwenansem bez realnego pokrycia?

Najpierw zaskoczony, za chwilę oburzony odruchowo chciałem rąbnąć faceta w ucho, jednak się powściągnąłem; odpowiedziałem zimno i już po rosyjsku:

– Nie, panie Mirow. Nie zapomniałem i nie zapomnę z wielu przyczyn, o których z panem nie mam ochoty dyskutować. Oprócz jednej: wczorajsza odezwa wielkiego księcia i naczelnego wodza rosyjskiej armii do wszystkich Polaków, i do mnie w ich liczbie, przypomniała Rosjanom, że moja ojczyzna nie jest fikcją, romantycznym konwenansem bez realnego pokrycia. I nie mogę zrozumieć, dlaczego ta odezwa nic nie mówi również panu, jeśli już nie z tego powodu, że jest pan synem Polki, to choćby dlatego, że autorem manifestu uznającego suwerenność Polski jest naczelny wódz armii, której pan jest oficerem.

– Tak, tak – odpowiedział Mirow. – Wszystko to brzmi bardzo wzniośle, ale *wygowarywajetsia Oksford, a piszetsia Kembrydż*, i zapewniam pana, że rosyjski policjant, który z górą sto lat stał na ulicach Warszawy, będzie stał drugie sto lat na tym samym miejscu. Więc ja, Mirow, współczuję wszystkim romantykom, którzy piękne frazesy biorą za rzeczywistość i chcieliby zatrzymać żelazne koło historii.

– Na szczęście nie potrzebuję uczyć się historii od poruczników polowej artylerii... Nawet pod protekcją rosyjskich policjantów na rogach ulic Warszawy – odpowiedziałem znowu po rosyjsku i już wyraźnie obraźliwym tonem.

– Pan mnie obraża! – zawołał.

Sprawa oparła się o szefa sztabu korpusu, pułkownika Dawydowa, którego Mirow prosił o pozwolenie wyzwania mnie na pojedynek.

– Poruczniku, czy jest pan szlachcicem? – spytał Dawydow po wysłuchaniu sprawozdania Mirowa.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Więc możemy porozmawiać o tym nieprzyjemnym wydarzeniu nie służbowo na razie i po szlachecku, dla lepszego wzajemnego zrozumienia...

– Tak jest, panie pułkowniku. Zgadzam się najchętniej.

– Więc niech pan posłucha, co ja o tym myślę. Gdyby pan nie był porucznikiem Jego Cesarskiej Mości, tobym wprost powiedział, żeś pan postąpił jak bęcwał (*ostotop*). Przecież tego, że on jest Polakiem i że przyjeżdżamy przez Polskę, *nie wyrubisz toporom*. Nie dokonają tego sto kilkadziesiąt lat naszych rządów i polityka rusyfikacyjna, a pan tego dokonasz? Krótko mówiąc, ja bardzo pana proszę, zakończyć to głupie zajście natychmiast i po szlachecku. Czy zdaje pan sobie sprawę, jakby wyglądał wasz pojedynek? Pan by się bił za Rosję, a on za Polskę. Nonsens!

Rozmowę tę powtórzył mi słowo po słowie sam Mirow. Tegoż samego wieczoru przyszedł do mego przedziału z teką pod pachą i prosił, bym zapomniał o tej „głupiej historii”, którą sprowokował. Ekskuzując się rozwlekle, wciąż popatrywał na tekę, jakby spychając ciężar kłopotliwego tematu na jakiś przedmiot w niej zawarty. Wreszcie wypatroszył z niej owinięty w bibułę kształt, wymiarami zbliżony do trzycalowego pocisku, prosząc, bym nie odmówił mu satysfakcji zapicia jego niezręczności szklanką dobrego martela.

Kiedy nazajutrz zameldowałem się u szefa sztabu, by mu w jakiś sposób wyrazić uznanie, i opowiedziałem, jak się rzecz skończyła, Dawydow zauważył sucho i ze sztuczną surowością: – Dobrze, że pan mi opowiada o tym koniaku prywatnie i poufnie. Bo po pierwsze, abstynencja jest urzędowo nakazana, a po drugie, czemu z tym trzycalowym szkłem nie przyszłście do mnie... też prywatnie?

Do Mirowa nie zachowałem cienia żalu. Wiedziałem już, że ludzie pod wpływem chwilowego impulsu mówią często rzeczy, które nie świadczą ani o ich przekonaniach, ani o ich intencjach, ani o inteligencji czy głupocie, po prostu nie świadczą o niczym. Pomimo to pozostał we mnie jakiś cierń. Zdawałem sobie sprawę, że incydent z sympatycznym półkrwi Polakiem obudził w moim sercu więcej wątpliwości niż kilkunastoletnie obcowanie z Rosjanami w kadeckim korpusie i Petersburgu.

Później przez kilka dni była Warszawa, nieznana mi dotychczas polska stolica.

Po granitowych wspaniałościach Petersburga wydała mi się smutna i biedna, jakby sztucznie zatrzymana w rozwoju pamiątka przeszłości i drogocenna dla serca zguba, odnaleziona po latach w wieloplemiennym obozie imperium. Wzruszała i rozczarowywała jednocześnie.

Widok prawosławnego soboru na placu Saskim wprost mnie oszłomił. Wydał mi się nie tylko gwałtem na artystycznej proporcji architektury miasta. Wzniesienie tego domu niewątpliwie Bożego z intencją wcale nie boską, jakieś symbolicznej „czapki Monomacha”, uszytej na wyrost w ideologicznej Kałudze czy innej Tule, którą przykryto polską stolicę dla niepoznaki, aby się wydawała rosyjskim gubernialnym miastem, wywoływało protest, już nie tylko polski, lecz ludzki, i wzbudzało pogardę dla bezmyślności w chuligańskim stylu.

Nie byłem przecież polskim szowinistą. Podobny zarzut uznałbym za pozbawiony sensu. Przeciwnie, z przekonania i sentymentu byłem Polakiem o wyraźnie prorosyjskiej orientacji, uzgodnionej moralnie i politycznie z propolską orientacją moich przyjaciół Rosjan.

Odwiedziłem na Pradze moją siostrę Rutkowską i jej miłą i kochaną gromadkę. Spotkałem się z przyjaciółmi z Petersburga, z panem Henrykiem Tennenbaumem, panem Wiewiórskim, z Kazimierzem Barańskim, Kazimierzem Mayznerem, Lucjanem Altbergiem, Bolesławem Drozdowiczem i kilkoma innymi, już całkowicie ogarniętymi gorączką wielkich wydarzeń i jeszcze większych spodziewań, aczkolwiek w bardzo odmiennych orientacjach.

Kazimierz Mayzner zabrał mnie do Aleksandra Świętochowskiego, który od razu mnie rozgrzeszył. – Nie jest hańbą – orzekł – nosić rosyjski mundur, gdy jest wojna z Niemcami. – W godzinę po nas przyszedł ktoś przemykający się do brygady Piłsudskiego. Mocno argumentował za „centralną” orientacją i nie oglądając się na mój „moskiewski” mundur, walił jak z werndla* w rosyjską potęgę. Pozostałem nieprzekonany, chociaż bardzo przejęty pięknym patosem legionisty (był to ktoś znaczny, kogo jednak ani wówczas, ani później nie udało mi się zidentyfikować). Ja broniłem swego

* Typ karabinu używanego w armii austriackiej w latach 1867–1888. Nazwa od fabrykanta broni i konstruktora: Józef Werndl (1831–1899).

„aktywizmu”, obiecując z przekonaniem, że rewolucja wszystko odmieni w stosunkach polsko-rosyjskich. Na wyrzuty strzelca o niedostatecznym uświadomieniu narodowym grzecznie się odgryzłem, że nie od dziś jestem uświadamiany antyrosyjsko i że wcale nie zruszczenie, lecz moja rewolucyjność jest powodem, że w obecnej sytuacji politycznej taktycznie pozostaję na prorosyjskich pozycjach.

Chociaż nigdy nie należałem sam do partii SDKPiL, moje ówczesne poglądy były pod niewątpliwym wpływem internacjonalizmu moich bliskich znajomych: Komorowskiego, Fabierkiewicza, Sonje Jabłońskiego (syna Stanisława Patka) i Matuszewskiego. Wprawdzie ich strachami przed reakcyjnością polskiego integralizmu zbyt nie przejmowałem, byłem przecież gorącym przeciwnikiem polskiego, szlacheckiego konserwatyzmu.

Nie zabrakło mi w Warszawie również i krotochwilnych wątków. Z rodzonym bratem Bronisławem, dowódcą jednej z syberyjskich dywizji, chwilowo obecnym w Warszawie, spotkać mi się nie zdarzyło, przypadkowo natomiast dowiedziałem się z niemałym zdziwieniem i zgorszeniem, że to właśnie Bronisław którejś nocy, wracając do siebie po dobrej kolacji, omylił hotelowe piętro, wszedł do „swojego” pokoju i w ubraniu rzucił się na łóżko, w którym niewinnie spoczywała pani M., żona ziemianina z Suwalszczyzny. Z czego wynikła oczywiście wielka i nieprzyjemna awantura. Pani M. przywołała historycznie służbę, zbiegł się cały personel, groziła, że uda się osobiście do wielkiego księcia ze skargą, że już minęły czasy znęcania się nad Polakami... Bronisław widocznie niewiele zrozumiał, gdyż na boku zapytał szefa recepcji: „Wszystko to bardzo wzniośle i cnotliwie, ale dlaczego ta baba weszła do mego łóżka?”.

Mimo mego rzekomego „zruszczenia” właśnie ówczesna Warszawa zrobiła na mnie wrażenie miasta niezbyt przejętego militarnymi sprawami zaborcy, jakby już zgodnie z wielkoksiążęcą odezwą do Polaków te sprawy stawały się wspólnymi. Po salonach i kawiarniach, po szynkach i handelkach z ożywieniem i życzliwie komentowano aspekty wojny i nie tyle polityczny sens wielkoksiążęcego manifestu „zgody”, ile anegdotyczną charakterystykę formalnego autora tego dokumentu. Groźny olbrzym (2,05 m), bijący

ponoć po twarzy generałów i pułkowników, zbyt wielu zachwycił. Popularność jego, tak górnolotnie przypominająca Polakom, że „jeszcze nie zardzewiał grunwaldzki miecz”, szerzyła się w pospólstwie, mieszczaństwie i częściowo w arystokracji. Czuło się jednak, że ta popularność satrapy pochodziła nie tyle z ducha tego miecza, ile raczej z mordobijnej anegdoty. Nie dogadzało to wszystko mojemu radykalizmowi i – jak mi się wówczas wydawało – mojej petersburskiej wielkoświatowości. Gdy się więc przekonałem, że inteligencja w swojej znakomitej większości jest również obojętna dla frazeologii obcego hetmana i wschodnich jaskrawości jego obyczajów, poczułem się z pewną dumą wśród swoich i bliskich. Ocenialiśmy właściwą miarą pompatyczny ton tej koniunkturalnej „gramoty”, która istotnie mogłaby być historyczna, gdyby nie była po cygańsku chytra, bo podpisana nie przez monarchę, lecz przez naczelnego wodza, którego obietnice monarcha już nazajutrz może uznać za nieobowiązujące.

* * *

Aż którejś nocy znów cichaczem wyruszyliśmy w świat, tym razem w kierunku Dębłina.

Pułki naszych dywizji zostały śpiesznie rzucone w lukę spowodowaną przerwaniem frontu na polskim odcinku. Sytuację szybko opanowano i wojska naszego korpusu przerzucono z Dębłina nad Nidę. Sztab stanął kwaterami w Busku.

Któregoś listopadowego dnia wezwał mnie pułkownik Dawydow i poufnie zakomunikował, że wywiad ustalił obecność po drugiej stronie Nidy strzeleckich batalionów polskich. Że z dowództwa południowo-zachodniego frontu nadszedł rozkaz natychmiastowego wieszania jeńców legionistów, obywateli państwa rosyjskiego, lecz że rozkaz ten już został odwołany przez naczelne dowództwo. Dawydow wymownie i serdecznie uściśnął mi rękę.

BYĆ DOBRZE URODZONYM NIE JEST ZŁE

W grudniu zaszły zmiany w moim osobistym losie, bardzo pomyślne.

Dowódca naszego korpusu, bardzo już stary i konserwatywny baron von Krusenstern, z okolicznościowej rozmowy z Dawydem dowiedział się, że jestem bratem Mikołaja Wędziagolskiego*, oficera lejbgwardii kirasjerskiego pułku Jego Cesarskiej Mości, a więc podwójnym wnukiem baronówny von Brunoff z domu (mój dziad był ożeniony ze swoją cioteczną siostrą), rodzonej bratanicy hrabiego Filipa Brunoffa, ambasadora carskiego przy królu Anglii (Filip Brunoff otrzymał od Aleksandra II tytuł hrabiowski za dyplomatyczne zasługi) i poza tym, że jestem również bliskim krewnym generała-adiutanta von Fossa, atamana dońskiego kozackiego wojska z nominacji cara czy coś w tym rodzaju. Dla starego ekscelencji, mego dowódcy korpusu, za dużo było tych vonów, by w jakiś sposób nie zareagować.

Von Krusenstern kazał mnie wezwać do siebie, trochę przepytował o obecne koneksje papy i mamy i – krzywiąc się na mój urzędniczy uniform – grzecznie przypomniiał, że gdy był młodym oficerem, wiele nasłuchiwał się huzarskich legend o moim dziadku huzarze, znakomitym karciarzu i zawadiace. Chcąc w jakiś sposób ulżyć memu upośledzeniu, zaproponował mi bardziej samodzielłą funkcję doglądania siedmiu konnych transportów korpusowych i w związku z tym zakup pszenicy, żyta i owsa od okolicznych ziemian, dostawy do młynów, remont dróg i mostów w rejonie korpusu.

Odetchnąłem pełną piersią. Oznaczało to bowiem koniec wegetacji w roli kancelaryjnego gryzipiórka.

* Pomyłka autora: wspominającemu „nałożyło się” dwóch braci, Mikołaj i Józef Wędziagolscy. Józef był dziadkiem Karola, jego brat Mikołaj, jako uczestnik powstania styczniowego, wyjechał na emigrację, do Paryża. I tam też założył rodzinę, tam zmarł przed pierwszą wojną światową. Opisany w *Pamiętnikach Wędziagolski* to dziadek autora, Józef – informacje uzyskane od syna Pawła, Michała Wędziagolskiego.

Wybrałem sobie kwaterę w Staszowie przy wielkim młynie, w domu starego i bardzo szanowanego Izraelity, właściciela młyna. Już na wstępie gospodarz gościnnie mnie zapewnił, że w jego domu niczego mi nie zabraknie, chyba ptasiego mleka, które – jak to zaznaczył z sympatycznym akcentem – łatwo jest zastąpić starą pejsachówką.

Służbowe stosunki i łączność z transportami ustaliłem w ciągu kilku dni. Wezwałem dowódców transportów do Staszowa, oczarowałem ich doskonałym śniadaniem, podgrzanym wybornym specjałem z piwnicy mego gospodarza. Byli to przeważnie panowie już po czterdziestce, chorążowie rezerwy, dość przyjemni ludzie. Dowódcą jednego transportu był baron Hahn, innego – chorąży Cziczerin, *privat-docent* dorpackiego uniwersytetu, bliski krewny późniejszego bolszewickiego ministra, jeszcze innego – aktor miejskiego teatru w Pskowie i tak dalej. Wszyscy z wyjątkiem Hahna, ziemianina i właściciela pięknych Zielonych Jezior pod Dźwińskiem, mieli jedną wspólną cechę: nie posiadali najmniejszego gospodarskiego doświadczenia i byli zdani na łaskę swoich wachmistrzów, niesłychanych spryciarzy i drapichrustów. W ciągu następnych dni zlustrowałem stan transportów, to znaczy żołnierzy, koni i wozów. Co do ludzi nie miałem żadnych wątpliwości, że są urodzonymi złodziejami i łazikami. Byli to rezerwiści z Mołdawii, słynnej pod tym względem na całą Rosję. Co do koni było oczywiste, że gdybym przybył o parę tygodni później, połowa powyzydychałaby z głodu i chorób. Każdy transport liczył przeciętnie sto pięćdziesiąt parokonnych wozów, tereny operacji były porozrzucane dość szeroko. Wpoiłem w świadomość oficerów i żołnierzy, że moje oko doświadczonego gospodarza nawet z dala będzie czuwać nad praworządnością zaszczytnej służby transportowej.

W armii w polu po dłuższym postoju jest jak w małomiasteczkowym świecie: wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Więc fakt życzliwości dla mnie dowódcy korpusu, w szeptanych i przesadnych wersjach o niebezpiecznych dla otoczenia moich koneksjach i stosunkach, znakomicie podparł mój autorytet. A były to czasy, gdy dowódca korpusu zgodnie z ustawodawstwem wojennym był panem życia i śmierci każdego żołnierza, oficera i urzędnika wojskowego do rangi kapitana włącznie. Mógł każdego kazać rozstrzelać

bez sądu. Oczywiście tego rodzaju wypadki prawie się nie zdarzały, lecz się zdarzać mogły.

Dopiero w drugiej dekadzie grudnia mogłem się sam po raz pierwszy wybrać w teren w celu zakupu zboża na większą skalę. Najbliżej były Kurozwęki, własność pana Pawła Popiela, odległe od Staszowa o sześć kilometrów.

Był to prawdziwy mały zamek, na oko starożytny i obronny, otoczony fosami, wypełnionymi ponurą wodą, połyskującą odwieczną nieruchomością. Z daleka widniał duży staw na tyłach dość niekształtnej budowli, ułożonej z surowego kamienia, już w wielu miejscach wykruszonego i połatanego bądź partiami dużej staroświeckiej cegły, bądź nowoczesnym betonem.

Po omówieniu tematów zbożowych i uradowaniu pana Popiela wiadomością, że wojsko płaci o kilkanaście procent wyższą cenę od rynkowej, miałem już się pożegnać, gdy do kancelarii nadbiegł służący i zameldował, że pani dziedziczka prosi na śniadanie.

Ze zrozumiałą ciekawością przebyłem kilka uroczystych komnat na dole, gęsto pozawieszanych wielkimi portretami, następnie bardzo wąskimi i dziwacznie pokręconymi schodami weszliśmy na piętro do dużej antyszambry, skąd do sali jadalnej, gdzie nas spotkała i przywitała pani zamku.

Była to osoba we wczesnym średnim wieku, młodo wyglądająca, uprzejma i swobodna, jakby zachęcająca obcego, by w jej towarzystwie czuł się przyjemnie i swojsko. I rzeczywiście, już w parę minut rozmawiało się z nią jak z miłą znajomą. Nastrój prysł po drugim kieliszku wódki, nawiasem mówiąc, wypitej przeze mnie ze smakiem, co wywołało dyskretną, lecz wyczuwalną dezaprobatę pani domu. Odbudowałem, jak umiałem, nadwątlone dobre pierwsze wrażenie, mówiąc o portretach zamkowych z erudycją jak na urzędnika wojskowego wcale nieprzeciętną. Zacząłem również pleść o malarstwie religijnym, nim się spostrzegłem z przerażeniem, że w tej dziedzinie moja słuchaczka może być moim profesorem. Co rychlej wycofałem się więc z niebezpiecznego tematu, napomykając skromnie, że przez kilka lat uczęszczałem, aczkolwiek nie za często, jako wolny słuchacz do Petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych w klasie rzeźby. Wówczas pani z pobłażliwym uśmiechem zachęciła nas do powtórzenia

kolejki starki i kazała służyćemu napełnić nasze kieliszki po raz trzeci. Zrozumiałem, że rzeźbiarze mają u niej opinię marną, traktuje się ich jednak z pewną tolerancją. Z dalszego ciągu konwersacji wynikało, że pani Popiel była również erudytką w dziedzinie zagadnień religijnych. O historii Kościoła, o herezjach i wojnach religijnych miała więcej do powiedzenia niż niejedna pani domu o domowej służbie. A śniadanie wypadło zgodnie z maksymą, która ostrzega, że im pani domu jest większą sawantką, tym w domu dają gorzej jeść.

Z kolei wybrałem się do dóbr ziemskich Sichów. Majątek i cukrownia były w owym czasie własnością księcia Macieja Radziwiłła, pod zarządem pana Psarskiego, dyrektora cukrowni i administratora dóbr.

Pan Psarski przyjmował interesantów w domku myśliwskim, gdzie się mieściły również biura, a ponieważ w chwili mojego przybycia zajęty był w cukrowni, służący poprosił mnie do poczekalni, która była również rodzajem muzeum łowieckiego. Wszystkie ściany od góry do dołu były obwieszane rogami jeleni, dziczymi głowami i żuchwami oraz innymi trofeami myśliwskimi fauny miejscowej, jak również rozmaitego rodzaju akcesoriami łowieckimi. Było tam niemało wspaniałych i ciekawych dla mnie okazów, więc rozglądałem się po sali z dużym zainteresowaniem.

W rogu tego muzeum już się ktoś wcześniej usadowił, jak sądziłem, czekając również na przyjęcie. Był w rosyjskim mundurze Czerwonego Krzyża, bardzo malowniczym i z odznakami wysokiej cywilnej rangi na złotem szytych naramiennikach. Ukłoniłem się przepisowo i skromnie usiadłem w przeciwnym rogu. Osoba wyglądała na cudzoziemca. W średnim wieku wytworny pan, czarniawy na twarzy, średnio postawny, byłem przekonany, że to Rosjanin z południowych okolic Rosji. Toteż zdziwiłem się niemało, gdy się do mnie zwrócił w tak straszliwie łamanej ruszczyźnie, że mną aż pokręciło. Pytał, czy jestem tu w sprawach kwaterunku.

Na chybił trafił odpowiedziałem po polsku, że przyjechałem tu do administratora dóbr w sprawie zakupu zboża. Tamten żwawo się poruszył, przesiadł o kilka foteli bliżej i zapytał, gdzie się nauczyłem tak biegle po polsku.

– Jestem Polakiem w mundurze rosyjskim, jak i szanowny pan – odpowiedziałem.

Wówczas przesiadł się on na fotel tuż obok mego, a podając rękę, coś mruknął niewyraźnie. Kiedy również półgębkiem wymieniał swoje nazwisko, prosił o jego powtórzenie i z ożywieniem zakomunikował, że u swoich krewnych na Litwie poznał był swego czasu kogoś tego samego nazwiska, znakomitego w tamtych stronach rolnika. Wyjaśniłem, że to zapewne mój daleki krewny, którego jednak osobiście nie znam. Nazwisko nasze nie posiada imienników wśród szlachty, wokół Wędziagoły natomiast, starożytnego gniazda rodu, wielu Izraelitów przybrało sobie zawołanie pochodne od nazwy dość dużego miasteczka. Mój rozmówca przytaknął, że zdarza się to i z innymi nazwiskami, lecz że nie wyraził przy tym zwykłego szlacheckiego ubolewania, poczułem się więc socjaldemokratycznie usatysfakcjonowany.

Rozmowa potoczyła się o tym i owym, jak w wagonie, bardzo powściągliwie o wojnie, jeszcze oględniej o odezwie wielkiego księcia do Polaków, bardziej rzeczowo i szczegółowo o myślistwie, chociaż z punktu domyśliłem się, że nieznajomy myśliwym nie był. Spytałem wreszcie, czy on także czeka na pana Psarskiego.

– Nie, na nikogo nie czekam.

To mi się nie spodobało. Wciąż miałem bowiem wrażenie, że rozmawiam z cudzoziemcem. Raz po raz obcy akcent, a niektóre sformułowania różniły się od potocznego polskiego i ziemiańskiego języka.

– To co pan tu robi? – rzuciłem dość prostacko.

– Mieszkam.

– Aaa, to rozumiem teraz, czemu mnie pan pytał o kwaterunek! Bał się pan, że zabiorę mu pokój...

– Ależ nie! Mam jeszcze parę pokoi.

– Rekwiruje pan tu cały dom?... A może jest pan tu dzierżawcą?... Także nie?... Więc w takim razie, kim pan jest, jeśli mi wolno zapytać?

– Proszę bardzo. Jestem po prostu właścicielem.

Na szczęście porwał mnie tak serdeczny śmiech, że w nim utonęło moje skonfundowanie. Radziwiłł zaraził się nim także, a gdy nadszedł dyrektor Psarski, niezmiernie nobliwie wyglądający starszy pan, książkę przedstawił mnie jako swego rodaka z Litwy i kuzyna dobrego znajomego, którego często spotykał w Kiejdanach.

Prezentacja, tak wyraźnie przesadzona, została jeszcze podniesiona tegoż samego popołudnia w salonie państwa dyrektorstwa Psarskich:

– Pozwólcie – zwrócił się pan Psarski do żony, dwóch córek i syna – przedstawić sobie pan Wędziagolskiego, przyjaciela naszego księcia.

Panienki obrzuciły mnie i mój mundur nieufnie, spojrzały porozumiewawczo na siebie i jedna o wyglądzie czarnej pantery wycedziła w kierunku ojca:

– Szersze masy ludowe pragnęłyby się dowiedzieć, od jak dawna nasz książę jest zaszczycony przyjaźnią pana Wędogłobskiego?

Odszczeknąłem czarnej panience grzecznie:

– Nic nie wiem o zacytowanym Głobowędskim, lecz co się tyczy mnie, Karola Wędziagolskiego herbu Pomian z Jaworowa z przyległościami, to się przedstawiłem księciu przed godziną.

Śmiech powszechny był wstępem do wielomiesięcznej i bardzo przyjaznej znajomości, zapoczątkowanej doskonałą kolacją z wódką w proporcjach znacznie liberalniejszych niż w Kurozwękach. Nie minęło jednak parę kwadransów pokolacyjnej pogawędki w salonie, gdy z piętra zleciała jak burza ta, co chciała mnie Wędogłębkiem pognać, z jakimś grubym folialem w ręku, już ze schodów wołając:

– Ale o przyległościach tego Jaworowa historia milczy!

Dynamiczna osobka, bardzo sceptycznie usposobiona do wojennych znajomości z rosyjskimi mundurami, zdążyła w *Słowniku geograficznym* odkopać potrzebne informacje i przygwoździć nieścisłość moich hipotecznych zeznań. Wśród ogólnej wesołości przyznałem się szczerze i ze skruchą do nagannej pokusy podmalowania Jaworowa aluzją do jego niewymiernej przestrzenności, by całość moich personaliów, badanych przez uroczego prokuratora, wypadła lepiej.

Mój Boże! Działo się to w grudniu 1914 roku, a w grudniu 1954 w salonie państwa Zygmuntostwa Koszutskich w São Paulo w Brazylii poznałem młodego inżyniera Psarskiego, na którego rzuciłem się z żarem niewygasłych wspomnień: – Czy jest pan synem dyrektora sichowskiej cukrowni?

– Nie, panie, jestem jego wnukiem.

Czterdzieści lat wypadło mi z rachunku rzeczywistości.

BOŻE NARODZENIE

Wnaszej rodzinie święta Bożego Narodzenia były uroczystością nie tylko religijną, lecz również rodzinną, jak w większości polskich rodzin. Ze wszystkich stron naszego ówczesnego świata, z Petersburga, Kaukazu, Mandżurii, a w jednym wypadku nawet z Japonii, co nie było takie łatwe, coś mocniejszego od przestrzeni, trudów i kosztów podróży niosło pamiętliwe serca i lekko wycudzołżone dusze w jednym i tym samym kierunku – tak to trwało latami: w dniu Wigilii stary dom ożywiał się niezmiernie hałaśliwą obecnością maminych, papinych, a przede wszystkim jaworowych synów i córek, a było tego sporo.

Toteż w pierwszym roku wojny, gdy już się zbliżały święta, starałem się o nich nie myśleć, nie pamiętać o tym Bożym Narodzeniu, bodajże pierwszym w życiu poza domem.

Któregoś takiego dnia, kiedy nie po naszymu, wolno, jakby z namysłem prószył śnieg, raczej śnieżyk, po pięć gwiazdek na minutę, wybrałem się o wczesnej godzinie na swojej szlachetnej chabecie w daleką drogę, mając na widoku realizację umów zbożowych z ziemianami w okolicach Opatowa.

Droga była daleka, lecz pociągała perspektywą długiej samotności i satysfakcją sportową, jak każda droga, choćby najdalsza, jeśli koń dobry. Mróz parostopniowy, prawdziwie „polski”, lekko ścisnął, wcale nie dokuczał, podniecając zaledwie obieg krwi, śnieg prószył w bezwietrznym nieruchomym powietrzu, wyraźnie zamysłony, usposabiając i mnie do nieśpiesznych medytacji.

Pomimo że należałem do pokolenia spod znaku Maksa Stirnera, Schopenhauera, a przede wszystkim Nietzschego, którzy nas pouczali z wysokości zimnego rozumu o nicości wzruszeń, cech słowiańskiej ułomności ducha, pozostaliśmy ułomnymi. Nie potrafiliśmy oprzeć się wpływom naszej przyrody, a może i wpływom naszej

drogiej matki, która – nie powiem, że wszystkimi Niemcami – ale szalonym Fryderykiem pogardzała i pewnego razu chlebowy piec w oficynie kazała nim napalić. Zdarzyło to się w wyniku krótkiego spięcia, które nastąpiło, kiedy zacny hreczkosiej z sąsiedniego powiatu oświadczył się o rękę mojej młodszej siostry. Siostra, wybitna nietzscheanistka – za żadne skarby! Nawet płakać nie chciała, tak ją wzdęła pogarda i odraza, bo tamten biedak nie miał zielonego pojęcia o Zaratustrze. A matka znowuż z prawdziwie żywiołową odrazą myślała o tym naszym mędrцу, który jej dzieciom w głowach poprzewracał, a że w piekarni palił się właśnie piec na czeladny chleb, Zaratustra z wielotomową asystą został odesłany prosto w czeluście płomieni. Sprawa hreczkosieja poszła w zapomnienie, a dobra mama kupiła swojej córce w zamian dumań „wariata nad Engadyną Górną” – „365 obiadów” pani Ćwierczakiewiczowej. Na razie córka sarkastycznie odrzuciła rekompensatę, lecz gdy intelektualna duma wywietrzała w zdrowym powietrzu Jaworowa, zreflektowała się i po pewnym czasie strzeliła serią doskonałych śniadań i ustrzeliła dla hymenu kochanego przez nas wszystkich Litwinów galileusza Tadeusza Argasińskiego*. (Późniejszego podpułkownika Legionów).

Tak sobie marząc rozproszonymi wątkami myśli pomieszanych z krotochwilą, wjechałem w dziwną okolicę.

Z lekko ośnieżonego wzgórza sterczały ku niebu ruiny ogromnej budowli. Poszczerbione ściany i baszty szczyrzyły się wykruszonymi krużgankami, łukami, sklepieniami i wnękami, szkicując żałobnymi szczegółami najcudowniejsze architektoniczne kształty straszliwego trupa. Setki okien, rozstawionych w najczystszej palladiańskiej proporcji, ziały trzechsetletnią pustką, a z niezliczonych sal i amfilad pałacu-zamku** wyzierała śmierć. W zachwycie stawałem przed tym cudem feudalnym, wjeżdżałem w dziedzińce, zjeżdżałem do ponurych piwnic, wypatrując ducha przeszłości w obrazie teraźniejszej ruiny. Już przestawałem panować nad wzruszeniami, już traciłem poczucie aktualnej rzeczywistości, gdy oto wychynęła niepostrzeżenie i stanęła obok konia niezupełnie zwyczajna postać. Wysoki i bardzo

* Związek został zawarty w roku 1927.

** Mowa o ruinach barokowego zamku Krzyżtopór w Ujeździe w powiecie opatowskim, przypis do wydania emigracyjnego, PFK, Londyn.

szczupły człowiek w chłopskim kożuchu, z bardzo śniadą twarzą o niezwykle szlachetnych i rasowych rysach pod czarną baranią czapką, której właśnie grzecznie uchylał, wpatrywał się we mnie z fascynującą uwagą, ale też z dużą życzliwością. Polsko-rosyjskim wołapikiem przedstawił mi się jako sołtys wsi, z dziada pradziada tutejszy mieszkaniac.

Z podziwem wpatrywałem się w senatorską twarz chłopca, w jego postać tak bardzo pasującą do zamku, myśląc w skrytości: „Ach, człowieku, czy nie jesteś ty prawdziwym dziedzicem tego jaśnie oświeconego cmentarzyska!... Brakuje ci sobolowej delii, złotej ramy i stygmatu śmierci w czarnych jarzących się oczach, byś pozostał na wieczne czasy duchem tych ruin. Ale jeśli nie jesteś ich władcą, to jesteś i pozostaniesz ich własnością...”.

W pobliżu tych wspaniałych szczątków, jakby przylepiona do nich w bezruchu nędzy, próchniała uboga wieś, kupa najpospolitszych krzywych i bezładnie rozrzuconych chałup. Opodał widać było duży dwór, zupełnie jednak pozbawiony zwykłej dworskiej dekoracyjności, tak zwyczajnej u nas, na Litwie, i tak prawdziwie jaśniewielmożnej na Ukrainie.

Od grzecznego sołtysa dowiedziałem się, że jest to Ujazd, majątek pana Wilhelma Orsettiego, że jaśnie pan jest w domu, gdyż jaśnie państwo dopiero co wrócili z kościoła i bodajże siadają do stołu, bo to już czas.

Podjechałem pod dom, oddałem konia chłopakowi, który się nawinął, służyłście obiecując konia odprowadzić, wytrzeć i postawić w stajni, sam zaś pomaszerowałem do dworu. W obszernym hallu spotkał mnie służący w liberii, fałszywie przymilający się facet, pomógł mi się rozebrać, drżącymi rękami ulokował na stoliku rewolwer, szablę postawił w kacie i łabędzim ruchem obu rąk wskazał mi drogę do salonu, a sam znikł. Z głębi domu dolatywały głosy pań i panów, liczne, młode, wesołe, potężniejące w wybuchach powszechnego śmiechu, który łamiąc się w suchych ścianach starego domu na kaskady i echa, dosięgał mojej dość melancholijnej jaźni, jak kołatka nawołując, bym się rozchmurzył i nie psuł dobrym ludziorz świątecznego nastroju.

Już wiedziałem, że jest to dzień Bożego Narodzenia.

Do salonu wpadł, tocząc się nie tyle z rozpędu, ile z nerwowego podniecenia pan domu, pięćdziesięcioletni jegomość, jakby wycięty z obrazków Andriollego, usiłujący symulować swobodę, lecz najwidoczniej zaskoczony i jakby zastrachany. Łamaną ruszczyzną, jeszcze gorszą od radziwiłłowskiej, zadeklarował z miejsca, że jest szczęśliwy, witając w swoim domu rosyjskiego oficera. Odpowiedziałem chłodno entuzjaście, że jestem Polakiem i proponuję rozmowę po polsku dla lepszego zrozumienia. Ekskuzowałem się, że jest mi przykro, iż podczas wojennej pospolitości zapomniałem o święcie, więc możemy odłożyć konferencję o zbożu... Lecz Orsetti, słysząc, że to ma być o zbożu, w oczach rozkwitł, zajaśniał i prawie że na mnie krzyknął, iż tego nie można odkładać.

– Mnie już szambelan Karski uprzedzał, że szanowny pan pułkownik jest delegowany przez dowództwo do zakupu zboża, sprawa ważna i pilna! – A poza tym – nalegał – muszę zaszczyścić jego dom i spożyć ze wszystkimi gośćmi świąteczny obiad, do którego całe towarzystwo właśnie zasiadło.

O dobrym obiedzie marzyłem po trzydziestokilometrowym rajdzie. Nie wdawałem się więc w wyjaśnienia różnic między pułkownikiem a gubernialnym sekretarzem, bo ostatecznie ani mnie to ziębiło, ani grzało, a skoro jemu to robi przyjemność, niech sobie ją ma przy święcie. Jednakże perspektywa ukazania się wśród obcych i przyzwoitych ludzi w sali jadalnej w długich butach i w idiotycznym mundurze ni psa, ni wydry była żenująca. Lecz obserwując emocje pana Orsettiego, wypisane na jego obliczu, odgadywałem, jak szczerze by się zasmucił moją odmową, oczywiście nie z powodu „niezaszczycenia”, co odsunięcia zbożowych transakcji. Bez ceregieli więc ruszyliśmy w kierunku jadalni.

Z upodobania do krotochwili od wczesnych lat lubowałem się w uroczystościach wielkich wejść i prezentacji. Zawsze bardzo uważnie obserwowałem wchodzących, nie szczędząc im w duchu uszczypliwych, najczęściej socjaldemokratycznymi gustami dyktowanych, uwag. U szlachty kresowej, poczuwającej się do jakiejś mitycznej równości z arystokracją, ceremoniał ten miał specjalne znaczenie. Będąc sam „wchodzącym”, czułem się przede wszystkim szlachcicem kresowym.

Wszedłem więc godnie i nie śpiesząc się, zrobiłem ogólny ukłon, nie za niski, lecz nie nazbyt godny, ukłon wzoru cesarskich kadetów, pielęgnowanego pieczołowicie w korpusie, przy czym błyskawicznie stwierdziłem, że liczne towarzystwo przy stole wygląda niezmiernie sympatycznie; przeważała młodzież. Lecz nie migawkowa fotografia okolicznościowa była wydarzeniem chwili. Wśród kilku młodych pań ujrzałem twarz jakby z dawna znaną czy w snach zapowiadzaną, czy przed wiekami w innym wcieleniu rzeczywistą i najdroższą, a oto odnalezioną, a tak straszliwie daleką. Jej uważne spojrzenie, jakby zdziwione czy pytające, cofnęło się w pośpiechu, zasłaniając się cieniem zimnej obojętności dla obcego.

Po obejściu dookoła stołu i wymienieniu ze wszystkimi biesiadnikami uścisku rąk, powściągliwego wobec pań, bardziej serdecznego wobec męskich prawic, usiadłem koło pani Orsetti, która mi z miejsca oświadczyła, że jest również kresowianką z Wołynia, zna Rosję, a jej brat Stanisław Gutkowski jest w rosyjskiej służbie dyplomatycznej. Moja replika, że pana Gutkowskiego miałem okazję poznać w Petersburgu w salonie pani Władysławowej Żukowskiej, żony posła do Dumy i znakomitego ekonomisty, zrobiła dobre wrażenie. Tymczasem przerwane moim wejściem rozmowy toczyły się dalej. Ktoś z młodych, chcąc mnie włączyć w ogólny nurt konwersacji, a przy tym czegoś się o intruzie w rosyjskim mundurze dowiedzieć, zaczął od stereotypowych pytań o pogodę, o drogę, by zagadnąć chytrze, czy lubię wieś. Już miałem wypowiedzieć, co lubię, i tym samym uchylić zasłony znad „kto jest kto”, gdy pani domu pośpieszyła z jakąś odciągającą uwagą, zapewne w gościnnej trosce zaoszczędzenia mi konfuzji, o ile jestem z tej wsi już wydiedziczony albo jeszcze niezaszczycony towarzyskimi przywilejami z jej posiadania. Mimo tej interwencji odpowiedziałem zwięźle, że jestem urodzony i wychowany na wsi, nie zapominając dodać, że na wsi moich rodziców. Moja deklaracja wywołała wymianę kilku szybkich spojrzeń, nie dość jednak szybkich dla mego rysiego oka.

Pan Wilhelm Orsetti tymczasem, czy to pod wpływem świątecznego nastroju, czy może podniecony obecnością gościa w intratnej misji, zaczął wręcz celować w pomysły i wypowiedziach, różniących się ze sobą tylko tym, że były coraz bardziej *mal à propos*. Więc perorując

wzniosłe do panów z sąsiedztwa o mojej handlowej misji, zaznaczył, że wojsko zamierza płacić ziemianom cenę wyższą od rynkowej, i w tym miejscu zrobił wymowną pauzę, wycelowaną wprost we mnie. Nie chcąc dobrym ludziom skąpić powodów do dobrego humoru i trzymać w zawieszeniu, powiedziałem, że jeśli gatunek ziarna dobry, to różnica z cenami giełdowymi może osiągać trzynaście procent.

Pan Orsetti tryumfująco spojrzał wokoło, jakby się chełpiąc gościem w mundurze, i nie mogąc sobie poradzić z emocją, zakrzyknął:

– O, to my szanownego pana ozłocimy!

Na chwilę oczy co przytomniejszych świadków tej handlowej promesy wpadły dyskretnie do talerzy w oczekiwaniu na moją reakcję. Lecz kiedy odpowiedziałem wesoło, że złota nie da się ozłocić, pokrywając wyskok gospodarza żartem, wszyscy odetchnęli z ulgą i home-rycki śmiech zatuszował ryzykowną sytuację. Orsetti jednak nie schwycił melodii. Spłoszonymi oczami obiegił towarzystwo, a gdy się połapał, że wszyscy zgodnie weselą się jego kosztem, zaczął mnie bardzo zawile przeproszać, dopiero dobijając siebie ostatecznie.

Tymczasem nie najgorszy obiad trwał, stając się coraz przyjemniejszą biesiadą, a obecność moja nie miała już cech inwazji obcego w intymną sąsiedzką gromadę. Popijano nieszkodliwego ponte caneta, gdy Orsetti naraz powstał z kielichem w ręku, emanując natchnionym patosem i rozpoczął rozwlekły toast ku czci przyszłego króla polskiego, wielkiego księcia Miko... W tym momencie coś swawolnego uwięzło elektorowi w gardle, nim kandydatura została dokładnie obwołana. Skorzystało z tego natychmiast kilku panów i ja w ich liczbie, by zaznaczyć naszą niewzruszoną wierność republice. Przy czym pozwoliłem sobie odwołać się do mojej wielkoksiążęcej litewskiej odrębności: carskie rządy przenigdy nie odstąpią polskiemu królowi, nawet z ich rodu, Wielkiego Księstwa, a bez Litwy ja się nie zgodzę na króla i zakładam uroczyste weto.

Między mną a młodymi przy stole nawiązał się wyczuwalny alians. Niestety, kosztem kochanego gospodarza. Miałem zresztą wrażenie, że u wszystkich obecnych odpadła wszelka wątpliwość co do mego towarzyskiego standardu. Pozostał jeszcze do ustalenia na miligramometrze snobomierza stopień mojej towarzyskiej pozy-

cji w miejscu stałego zamieszkania. A więc ile sympatyczny młodzieniec posiada włók, sam czy jego papa? Czy się urodził i wychował w pałacu, czy we dworze? Ilu hrabiów ma wśród bliższej i dalszej paranteli i jakie współczesne koligacje ze „światem” wyznaczają jego miejsce w szlachecko-ziemiańskiej społeczności?... Zapewne wśród obecnych wszystkie te kwestie w aspekcie intelektualnym uznane już były za przebrzmiałe; czasy stawały się przepiślowo demokratyczne. Nie miało to jednak praktycznego znaczenia, gdy w grę wchodziła obrona elitarnego odrębności, dla schyłkowego okresu całkiem umotywowana.

Nie kwapiłem się do sukcesów na polu towarzyskim wygrywaniem legend o powiatowych blaskach mego rodu. Bardziej niż skrupuły socjalnego demokraty (bez partyjnego przydziału) zadziałał tu wąż puszczański: wystawnością rycerskiej krwi nie nadrobisz brakujących morgów do tutejszej fortuny, idącej w tysiące! By jednak jakoś zabłysnąć i wyodrębnić się, przybrałem styl petersburskiego „schyłkowca” jako najodpowiedniejszy kontrast w otoczeniu bardzo konserwatywnych i niewątpliwych karmazynów. Nowoczesność budzi zawsze zaciekawienie, jeśli nie aprobatę. Całkowicie natomiast zataiłem moje socjaldemokratyczne aspiracje i asocjacje, przez poczucie dobrego smaku zapewne, aby nie wywołać niepożądanego dysonansu.

Wkrótce się pokazało, że prawie wszyscy panowie byli myśliwymi; to znaczy bażanty, kuropatwy, zające, a wszystko w tysiącach. Dopiero zacząłem ich gnębić rudnickimi łosiami, dzikami i głuszcami, pardwami w dziśnieńskim powiecie i polowaniami na północ od Petersburga na niedźwiedzie. Podniosło to mój prestiż nadzwyczajnie. Dla pań, zwłaszcza dla tej jednej, zaprodukowałem się z zupełnie innej beczki, też nie po śledziach, cytując co krótsze paradoksy Oscara Wilde’a lub rozsnuwając z oszukańcym wzruszeniem nad lekko ośnieżoną Radomszczyzną wigwamowe dymy Oregonu w cudnych oktavach *Pieśni Hayawaty*.

Wreszcie stał się późny wieczór, wszystkie sprawy najważniejsze i błahe zbliżały się zwykłą drogą ku zakończeniu.

Z dziedzicem Ujazdu umówiłem się, że pojutrze przyślę konne transporty po pszenicę razem z pieniędzmi, które wypłaci dowód-

ca kolumny. Pan Orsetti był wzruszony i uszczęśliwiony, więc żegnał mnie jak syna, po którym dziedziczy.

Z młodymi pożegnałem się „na do widzenia”. Piękna panna z miłej czwórki rodzeństwa, reprezentująca w zastępstwie rodziców dom w sąsiedztwie, zaprosiła mnie na ostatni dzień grudnia. Uśmiechała się przy tym trochę dziwnie, lekko drwiąco, lecz zachęcająco, jakby to miało znaczyć, że wie już doskonale, jak wielką przyjemność sprawi mi ta wizyta. Cóż pocznę: jeśli wie, to niech wie, ale trochę mi się nie podobało takie jasnowidzenie. Hamując się, podziękowałem z godnością wytrawnego oszusta, gdyż czułem, jak przeze mnie galopuje dzika radość, aż w głowie dzwoni. To niezawodnie dzwoniły złotem kute kopyta niejakiego rumaka, pędzącego w poetyckim galopie ku temu, co się nigdy nie miało zdarzyć.

TRUP W LESIE

Po paru dniach wypadło mi znowu wybrać się w teren. Od samego rana nie umiałem sobie wytłumaczyć nagłej zmiany nastroju, jakiegoś bezprzyczynowego ni to przygnębienia, ni to rozdrażnienia. Koń osiodłany stał przed gankiem, już byłem gotów jechać w długą drogę do Łoniowej, majątku hrabiego Moszczyńskiego*, gdzie należało sfinalizować większą transakcję zbożową, a ja wbrew przyzwyczajeniu marudziłem w kwaterze, to szukałem rękawiczek, zatkniętych za pas, to sprawdzałem już nie wiem po raz który broń, pieniądze i papierosy, i zachowywałem się tak niezwyczajnie, że ordynans Jew-siejew, bardzo do mnie przywiązany i jak na petersburskiego ślusarza przeczulony, radził mi wyjazd odłożyć. W rzeczy samej, czułem się źle, coraz gorzej, jakbym był chory, chociaż mój wzrastający niepokój nic z samopoczuciem fizycznym nie miał do czynienia. Zaczynałem też uświadamiać sobie, że się coś dzieje poza granicami codziennego porządku rzeczy, że moje nerwy reagują na jakąś ostrzegawczą sygnalizację, której mój rozum nie jest w stanie odszyfrować.

Jak już wspomniałem, miałem jechać do Łoniowej, odległej o dwadzieścia pięć kilometrów od Staszowa, do której droga prowadziła przez Radziwiłłowskie lasy, głębokie i puste na przestrzeni kilku kilometrów. Sztab korpusu przydzielił mi dwóch dońskich Kozaków dla bezpieczeństwa mojej osoby i dla ochrony od możliwego rabunku znacznej kwoty pieniężnej, którą zazwyczaj ze sobą woziłem dla uproszczenia transakcji zbożowych. Przeciętnie miewałem ze sobą około stu tysięcy rubli, suma na owe czasy przed dewaluacją pokaźna. Jednak dotychczas unikałem wyjeżdżania w teren w asyście moich Kozaków, ni to z braku do nich zaufania, ni to by nie psuć

* Chodzi o Jerzego Moszczyńskiego.

sobie ich obecnością wszystkich uroków samotności. Więc i tego dnia wybrałem się samotnie.

Droga na lasy była mało jeżdżona i pusta. W ciszy zimowego popołudnia starałem się rozwikłać zawilosci moich nastrojów i niepokojów, nad którymi dominowała odraza, mimo że postanowiłem zebrać się do kupy, jechałem roztargniony niemal do granic nieobecności, a droga, śnieg i sama jazda ginęły wśród postrzępionych wątków sugestii czy złych przeczuć. Ocknąłem się na jakieś trzysta metrów od ściany lasu po prostej jak strzelił drodziej, wbiegającej w bór posrebrzoną śniegiem trybą. Wpatrzony w jej daleką perspektywę, pochwyciłem naraz w jednym mgnieniu wzroku migawkowe smugi dwu cieniów, szarpniętych w poprzek szafirowej bieli w głębi lasu. Nie od razu zrozumiałem, że to dwóch konnych przeleciało dukt z prawa na lewo. Właściwie nie kojarzyłem sobie tego widzenia, które uznałbym łatwo za przywidzenie, z nasileniem mego zdenerwowania. Czułem, że coś się we mnie wzbrania od wjazdu w las, paraliżuje nerwy rąk ściągających cugle, w płucach między oddechami staje alarmująca pustka. Serce w skroniach wystukiwało jakieś ostatnie sygnały domagające się przetasowania na nowo talii losu, w którą ktoś podstępnie śmiertelną czarną dziesiątkę w sąsiedztwo karowego waleta wsunął.

Nic nie rozumiejąc, przed samą ścianą lasu zjechałem z drogi.

Wąską ścieżką gajowych, przepatrujących złodziei, przegalopowałem brzegiem boru ze dwa kilometry aż do następnej wjazdowej drogi w lasy i w cudowny sposób odmieniony, wyzwolony ze wszystkich ponurości, lekki na duchu pograżyłem się w złotawej przepaści oczu, które mam jutro ujrzeć. Nie śpiesząc się, przyjechałem do Łoniowej, gdy krótki dzień już się zmagał z wczesnym zimowym zmrokiem.

Spotkał mnie pan Moszczyński, dziedzic pięknej fortuny i intelektualista, o którym już coś słyszałem od Psarskich. Wkrótce się przekonałem, że to spotkanie należało do najciekawszych w moim życiu. Nie wiedziałem, co więcej podziwiać w tym osiemdziesięcokilkuletnim fenomenie: żywość umysłu i pamięci, ujmujące obejście, wiedzę, oryginalność i trafność sądów w sprawach teraźniejszych czy umiejętność nadawania sprawom przeszłym kolorów

życia, jakby były współczesnością. Stary pan się rozgadał, a ja słuchałem go jak urzeczony.

Później podano kolację w wielkiej jadalnej sali, w której wszystko odbywało się tak dziwnie uroczyście i cicho, jakby szeptem. Nie brzęknął talerz, nie zadzwoniło srebro ani zagrały kryształowe kieliszki, i nawet nasze przyciszone głosy zdawały się być bardziej podobne do myśli niż zwykłej rozmowy. Pan domu zdawał się przy tym wyraźnie cieszyć nie tylko z mojej uwagi i pojętności, ale także widokiem pałaszowania przeze mnie doskonałej pieczeni i ochoczości, z jaką raz w raz przychylałem sobie kielich z takim burgundem, o jakiego istnieniu nie miałem dotychczas pojęcia.

Aż zrobiło się późno i brązowa kolumna pod ścianą rozważnie i cicho wyszeptwała północ.

Dziesięciminutowa rozmowa z administratorem w sprawie zboża zakończyła moją wizytę. Byłem wzruszony, że stary pan wyprowadza mnie aż na ganek, i nie zdziwiłem się, że w pałacowej sieni zdjął z sarniego rogu dżokejkę. Na dworze gęsta wpółodwilż zmagiała się z mroźną wilgocią ziemi i nieba. Było czarno, a do Staszowa dwadzieścia kilka kilometrów. Już miałem się po raz wtóry żegnać, gdy przed kolumnami ganku w nikłym blasku stojących latarni spostrzegłem dwa osiodłane konie, niecierpliwie przestępujące z nogi na nogę.

– Odprowadzę pana kawalek.

I tak jak stał, jak był ze mną w salonie i jadalni, w staroświeckim surducie tylko, suchy i potężnie stary, lekko wsiadł w siodło z podstawionej garści stojącego i nim się obejrzałem, zginął przede mną w mroku nocy.

Zrównaliśmy się za dworem na szerokiej drodze, gdzie czarność była już nieco przejrzystsza. Sucho brzęknęły o siebie w ciemności strzemiona, a niezmordowany starzec znów opowiadał o dawnych dziejach, napomykając bardzo oględnie o swoim królewskim przodku, równie witalnym jak on, lecz jakże duchowo różnym. Odwalił ze mną osiem kilometrów drogi aż do lasu, a gdy od borów pociągnęło ściszym szumem, jak głębokim sennym oddechem nocy, i zimniejsze poddmuchy rozwiały mgłę, że zrobiło się widniej, wstrzymał konia.

– Tu się rozstaniemy. Miło mi było poznać pana, a staremu samotnikowi spędzić parę godzin z młodzieńcem, który umie słuchać...

Tymczasem odmieniła się scena nocy. Na przetartym niebie już widać było dyszel Wielkiego Wozu, wskazujący prosto na Staszów. Jechałem stępą, rekapitułując wrażenia ze spotkania i kilkugodzinnego obcowania z człowiekiem o tak przedziwnej żywotności umysłu i sprawności fizycznej. Mimo woli myślało się o tym Augustcie Mocnym, aż tak mocnym, że jego praprawnuk odmachuje zimową północą w pokojowej surducinie dwadzieścia kilometrów konno, by młodemu gościowi, mającemu skłonność do przesadnego kwalifikowania swoich hartów, nie wydawało się, że jest tak wielkim zuchem.

Jechałem wielkim lasem. Od góry i od spodu dwie szarawe smugi nieba i ziemi prowadziły konia, stąpającego ostrożnie po skrępkach podmarzniętej grudy. Musiałem gdzieś blisko, może tuż obok, przejeżdżać koło miejsca zbrodni.

Nazajutrz rano nadjechał ze sztabu esauł z czterema Kozakami, kazał skuć moich dońskich „strażników” wzajemnie za ręce i puściwszy aresztowanych przodem, odjechał z powrotem. Niezwykle tragiczny był widok tych ludzi, maszerujących przodem przed prowadzonymi luzem ich końmi.

Na rozprawie sądu polowego wyszło na jaw, że moi Kozacy już od dawna postanowili zapolować na mnie „na zasiadkę”. Uskutecznić to mieli w Radziwiłłowskim lesie, lecz im się to nie udało, gdyż – jak zeznali – *jeho wysokorodije* był chytry. Nawinęła się natomiast inna okazja, zamordowali i obrabowali przechodzącego Żyda z Opatowa. Traf chciał, że książęcy gajowy spod gęstego jałowcowego krzaku przyglądał się z przerażeniem tej ponurej scenie. Morderców znał osobiście ze spotkań w Staszowie, więc śledztwo nie natrafiło na trudności. Pomimo naiwnego i szczerego przyznania się do winy sąd skazał obu morderców według surowego prawa wojennego.

Miałem się cieszyć z ocalenia? Niewątpliwie cieszyłem się, choć było mi żal i tego, kto swoim życiem opłacił za mnie krwawy rachunek.

TRUP W LESIE

nek ciemnym mocom, i tych nie bardzo zorientowanych w zawiłościach prawa prostaków, których jedno prawo zachęcało do zabijania ludzi za rzeką na pozycjach, a drugie karało najsurowiej za to samo w lesie. Zakopano ich w obcej niepoświęconej ziemi. Na prośbę dowódcy ich sotni nad Don posłano zawiadomienie: *Pogibli w boju.*

NOWY ROK I POŻEGNANIE

31 grudnia 1914 wybrałem się w gošcinę, jako zaproszony przez piękną pannę na bożonarodzeniowym obiedzie w Ujeździe u państwa Orsettich.

Znowu kopyta ostro kutej kobyły, szczerbiąc oblodzoną drogę, wydzwaniały metronomiczny wtór do trzydziestu tysięcy metrów podróŹnych myšli, znów jęczały i syczały w drutach pocztowych dalekosieŹne wiešci, jedyne i monotonne towarzyszkì podróŹy. Daleko, daleko od lewej strony stroszyły się na zachodnim widnokręgu ciemne garby Gór Świętokrzyskich, okryte ošnieŹonym i rozczochranym koŹuchem lasów. Na prawo, jak okiem sięgnąć, leciała pod horyzont bezbarwna równina mazowiecka, gdzieniegdzie podpierając kępami topoli lub rzędami wierzb przydroŹnych, to szare, to przetarte do bladego błękitu, niebo. Z pejzaŹem harmonizowała jego cisza.

Parę słów o tej ciszy.

W samotności człowiek dojrzewa jak leśna paproć w nocy. W samotności nabierają właściwego znaczenia myšli i wrażenia, gdzieš kiedyš posiane a zapomniane w rozgwarze szumnych i tłumnych dni. W samotności one się odnajdują i gromadzą, dołączając jak zaoszczędzony grosz do podstawowych rezerw ludzkiej duszy. Samotności nie znoszą i unikają jej ci, co w sobie nie rosną, tracąc, którzy nic nie gromadzą, mówiąc trywialnie, wszyscy ci, którzy się z sobą nudzą. Wiem, Źe te mądre maksymy są wszystkim dobrze znane, przytaczam je dla dopełnienia realistycznego obrazu minionej epoki, w której człowiek częšciej przyjaźnił się z ciszą, chociaŹ była to już epoka schyłkowa, powolnymi, ale długimi krokami zmierzająca do przemian, które zmieniając nawyki, sposoby bycia i upodobania, zmieniały do gruntu kształty indywidualnej duszy i jej związki z otoczeniem na rzecz kolektywnego współŹycia, co-kolwiek ono na różnych szerokošciach geograficznych znaczy.

Długim godzinom ciszy, tamtej ciszy z lat młodych, zawdzięczam, że dziś reaktywizuję przeszłość w drobiazgowy sposób, ze wszystkimi mało znaczącymi szczegółami, które jednak mi się dziś składają na ubogi, lecz najdroższy staroświecki skarbczyk. Widzę więc znów przed sobą zaśnieżoną długą aleję lipową, szereg olbrzymów w dwurzędowym szyku godnie maszerujących ku białemu dworowi. Widzę siebie, wjeżdżającego na obszerny dziedziniec, otoczony gospodarskimi zabudowaniami. Za nim szeroka biała przestrzeń zasypanych śniegiem klombów i kwietników, a dalej biały dom, pół pałac, pół dwór w chropawej ramie zimowych drzew.

Spotyka mnie jak dawnego i dobrego znajomego gromadka strasznie swojskich ludzi, których swojskość jest odmianą doskonałej salonowości, niemającej nic wspólnego z chaotyczną jowialnością hałaśliwych entuzjastów gościnności z innych środowisk. Zostałem autorytatywnie polecony rodzicom: małej i szczupłej pani i bardzo wytwornemu, a jednocześnie niezwykle szlagońskiemu papie. Jestem również przedstawiony dalszemu rodzeństwu, jeszcze jednej siostrze i jeszcze jednemu bratu. A potem dwa dni gościnny i trzy wieczory minęły szybko, jak mija wielkie święto. W atmosferze serdecznej zażyłości moja pierwsza wizyta wydawała się być dziesiątą, gdy moje późniejsze dziesiąte wywoływały wspomnienia i wrażenia, że moja pierwsza miała miejsce w zamierzchłej przeszłości. Tak szybko zostały przebyte wszystkie dystanse regionalnej i światopoglądowej obcości w niekończących się rozmowach ze wszystkimi i o wszystkim, bynajmniej niepryncypialnych ani niepodtrzymywanych sztucznie. I milczeliśmy wcale niekłopotliwie, gdy tak wypadło, że wszyscy naraz i każdy z osobna zamyślili się nad czymś swoim.

Wreszcie któregoś smutnego lutowego zmierzchu wpadłem do moich przyjaciół z niewesołą nowiną: odwrót na całym odcinku polskiego frontu.

Pod sekretem, którego powagę tuszowałem dowcipem, wyjawiłem moim nowym bliskim, że za kilka dni będą już tu cesarskie lub cesarsko-królewskie wojska. Pojedynczo i wszechstronnie zostało mi nakazane, bym natychmiast po wojnie odnalazł drogę w te strony, z czego ucieszyłem się bardzo, nie nazbyt manifestując, z czyich